Rozmaitości

Dnia 8. Lutego **N**er. 6. Roku 1840.

TRUP PRZY KAPLICY Ś. ANNY.

WYPADEK KRYMINALNY

Podług urzędowych aktów i listów skréślony.

(Dokończenie.)

Wszyscy obecni zwrócili znowu oczy swoje na obżałowaną, która jak posąg nieruchoma, milcząca i w myślach zatopiona była. Dopiéro wtedy postrzegła swego obrońcę, gdy tenże skończywszy mowę, po niejakiéj chwili przy jéj boku usiadł. Pocichu przemówiła do niego słów kilka, zapewne byłyto słowa podzięki za jego dobre chęci.

Wzruszony starzec ucałował jéj rękę. Ale zaledwo że odetchnął, natychmiast do nowéj wezwano go utarczki. Senkenberg wystąpił z oświadczeniem, że klijent jego niektóremi wyrazami obrońcy urażonym się być czuje.

Prokurator jeneralny wdaje się w tę sprawę i załatwi ją. Poczém niektóre punkty wzięto jeszcze raz pod rozpoznanie.

Piérwszy dotyczył się pani Seehausen. Prokurator jeneralny żądał, aby jeszcze raz dokładnie wybadano damy z Langsitz, azali im tę osobę oznajmiono jako mieszkającą w Hilgenbergu. Młode hrabianki nie mogły tego stwierdzić dokładnie, ale hrabina oświadczyła:

»Pamiętam to z pewnością, że w liście od pani Seehausen stały słowa: »Byłabym sama do ciebie przyszła, ale słabość nie pozwala mi wychodzić z pokoju.« Z tąd wnosić można, że pani Seehausen w tém miejscu była zamieszkałą.

Drugi punkt dotyczył się ubioru młodego człowieka w domu pani Vejtel. Prokurator jeneralny przekonał się o sprawiedliwym przez obrońcę uczynionym zarzucie. Jednakże nie chciał jeszcze porzucić powziętego zdania, iż to był Herman, który w owym domu oczekiwał swojéj małżonki »Obrońca«, rzekł on, »nazywa to nierozważném zdaniem: że Herman Preussach odmienił swoje spodnie; aby to zdanie było nierozważném, tego przypuścić nie mogę. W domu dla niego przychylnéj, a może i w sprawę jego wtajemniczonéj wdowy, łatwo mógł mieć sposobność, a tém samém i dostateczny powód do odmienienia swoich sukni; ubiór, w którym go dziéwczyna widziała, to jest ciasne, skórzane spodnie, mogły być niewygodne do przechadzki, i z tego powodu mógł wdziać na siebie wygodniejsze. Lecz i świadek mylić się może. Na wszelki wypadek jeszcze raz wybadać go należy.

Przywołano dziéwczynę. Byłato scena do śmiéchu pobudzająca. Głupia dziéwczyna udawała zawstydzoną, a nawet się rozgniewała, gdy jéj o »skórzanych, opiętych spodniach« jeszcze raz opowiadać kazano. Zaledwo że się sędziom powiodło wytłumaczyć jéj ważność téj sprawy. Tymczasem dziéwczyna była pewna swéj rzeczy. Zapewniła, że cudzoziemiec miał na sobie białe, skórzane spodnie, że jasnożółty kolor nankinowy jest jéj dokładnie znany. — Prócz tego zeznała także, że nadmieniony pan miał na sobie śrébrnym sznurkiem lamowaną kamizelkę, na sposób, jak takową studenci nosić zwykli.

Jeneralny prokurator oświadczył, iż nie widzi żadnego istotnego powodu do ograniczenia oskarżenia; kazał więc jeszcze raz przeglądnąć najważniejsze punkty dowodów i powtórzył swój wniosek ostateczny. Senkenberg imieniem swego pełnomocnika obstawał podobnież przy swojém prywatném zaskarżeniu. — Jeszcze raz obrońcy głos zabrać pozwolono. Ten idąc krok w krok za rozprawą oskarzyciela, wyłożył podobnież bardzo zwięźle wszystkie główne punkty swojéj obrony, mianowicie: niepewność, azali zabity jest tą samą osobą — niedostateczność dowodów co się dotycze jego zażyłości z obżałowaną — zupełną słuszność dowodów, co do istotnego zabójstwa.

Prezydent zakończył rozprawy i rozwinał w krótkości całą osnowę procesu. Osnowa ta była wzorem jasnego wykładu rzeczy. — Wezwał przysięgłych do wykonania swego urzędu i kazał w zrozumiałéj krótkości i związku ułożone przedłożyć zapytania, na które wyrok swój wydać mieli. Téjże saméj chwili zebrano akta, których sędziowie na swe obrady potrzebowali.

Obżałowana podniosła się z miejsca w zamiarze oddalenia się z sali. Większa część słuchaczów zabiérała się także do odejścia. — Już było znowu późno z południa, a można się było spodziéwać, iż na wyrok sędziów dosyć długo czekać będzie potrzeba.

Aż oto w chwili tego niespokojnego ruchu, wszczyna się hałas na galeryi; jakiś porządnie ubrany mężczyzna ciśnie się przez tłum z wielkim pośpiechem; w oka-mgnieniu dostaje się do poręczy galeryi, i grzmiącym głosem woła z góry:

»Zaklinam was sędziowie na sprawiedliwość Wszechmocnego Boga! Wysłuchajcie mię! Oświadczam, że obżałowana jest niewinna!«

Gdy to wyrzekł, wszystkich obecnych oczy zwróciły się w górę na nieznajomego. Sędziowie zabiérający się już na obrady, pozostali na swoich miejscach; z galeryi i wschodów zaczęła się znowu cisnąć publiczność na opuszczone stanowisko.

Prezydent rozkazał, aby nieznajomego przed szrankami stawiono. Niepodobna opisać ciekawości, z jaką obecni czekali rozwiązania tego wypadku. Jakaś podeszłego wieku dama, siedząca za opowiadaczem tych wypadków, zbladłszy na twarzy, w głos wykrzyknęła: »Ach! to jest Herman! Za zabitego miany Herman! Wieszczém przeczuciem przepowiedział to obrońca!«

Nieznajomy wszedł do sali — ale nie był to Herman. Z dumą i zadziwieniem spojrzał na niego Preussach; nieznajomy przeszedł koło niego jak gdyby go nie uważał. Szukał on kogo innego swémi oczyma — szukał obżałowanéj. A taż? — ta znała go. Smutnym, trwożliwym wzrokiem patrzała na zbliżającego się — razem nabrawszy myśli — rzekła do niego z pośpiechem i z cicha kilka słów po angielsku.

Prezydent rozkazał natychmiast odprowadzić obżałowaną, oraz aby się publiczność z galeryi rozeszła. Oznajmiono, iż wyrok odroczono. Z niechęcią usłuchała publiczność tych rozkazów.

W mgnieniu oka rozeszła się po całém mieście wieść, o zjawieniu się nieznajomego świadka. Z tego powstały najprzeciwniejsze domniemania. Jedni utrzymywali, że nieznajomy jest spólzawodnikiem Hermana i że go w pojedynku zabił; drudzy, że to jest Herman sam, którego się rodzony brat haniebnie wyparł, i że teraz przez wiary-godne osoby jest uznany; inni nakonice twierdzili, że to jest czciciel obżałowanéj, że z nimto była owa schadzka w domu wdowy, ale że takowa nie ma żadnéj styczności z wypadkiem na Raubstejnie.

Jednakże żadna z tych pogłosek nie miała w sobie prawdy. Niezadługo dowiedziano się, że nieznajomy jest niejaki pan Nordek, który obecnie jest radzcą górniczym w służbie ***. a wprzódy był oficerem, i w którymto charakterze już dawniéj znakomitszym mieszkańcom Hajnburga był znany. Przyjechawszy przed godziną do tego miasta i dowiedziawszy się o wytoczonéj sprawie, pospieszył czémprędzéj do sądowego domu, i stanawszy przed prezydentem jako świadek w obronie obżałowanéj, składał przez kilka godzin nadspodziane zeznania, o których i my zamilczéć nie możemy.

Maxymilijan Nordek, takie było całe nazwisko tego świadka, za piérwszém zapytaniem prezydenta, wytłumaczył mu otwarcie słowa, które obżałowana pocichu do niego rzekła: »Pamiętaj wpan na przysięgę!« rzekła do niego. »Otóżto przysięga« — oświadczył Nordek — »wiąże usta téj nieszczęśliwéj niewiasty. Jest ona dla niéj święta i niezłomna, lecz ja mam nadzieję — iż od téj przysięgi uwolnić ją potrafię. Będzież mi wolno pomówić z obżałowaną? — Ty panie możesz być świadkiem.« Prezydent pozwolił. Przystąpiono do konfrontacyi.

»Łaskawa pani«, rzekł Nordek wzruszonym głosem — »przerwiéj to nieszczęsne milczenie! Już cię śmierć uwolniła od klątwy, która to milczenie nakazywała.«

»»Wielki Boże!«« zawołała Albertyna, »»Więc mój ojciec!««

»Już nie żyje. Błogosławiony duch jego zamieszkał już przebytek, gdzie wszelka złuda ziemska znika; poziéra on na swoję córkę, która zawsze jego miłości była godną, która tylko raz jeden w jéj życiu — do błędnego kroku najświętsze uczucie — miłość macierzyńska — Lecz« — rzekł przerwawszy swoję mowę — »jestemże ja sam wolny od mego przyrzeczenia?«

Albertyna ze łzami w oczach spojrzała na swojego obrońcę.

»»O Boże!«« — rzekła — »»na cóż się zda to usprawiedliwienie? Nie jestemże zabójczynią najtkliwszego, najszlachetniejszego ojca?««

»Ojciec twój pani nie wiedział aż do saméj śmierci, jakie niebezpieczeństwo jego córce zagrażało. Dokonał on swojego życia w zbawiennéj niewiadomości. Ostatniém słowem jego było błogosławieństwo dla swojéj córki. — Jeszcze raz pytam — jestemże wolen mojéj przysięgi?«

»»Wiernie jéj dochowałeś; wieczną ci wdzięczność winna jestem! Działaj podług swojego zdania.««

»Bogu dzięka!« rzekł Nordek. »Mości prezydencie, teraz gotów jestem na wszystkie zapytania!«

Prezydent jakkolwiek wierzył tym słowom, jednakże z przezornością zgadzającą się z ustawami, rozkazał, aby Nordeka osobno wybadano. Zeznanie jego było następujące:

»W lecie 1816 roku, gdy wojsko nasze z Francyi powróciło, byłem przy drugim szwadronie pułku huzarów, którym w niebytności rotmistrza, w téj okolicy dowodziłem. Pułk nasz w tém miejscu odebrać miał dalsze rozkazy; ale takowe z jednego miesiąca na drugi się zwlekały. Ja będąc na kwatérze w miasteczku Winznach, i niemając nic do czynienia, zacząłem zwidzać piękne, poblizkie okolice. W wycieczkach moich wstępowałem do sąsiedzkich obywateli, którzy gościnnie przyjmowali w swych domach oficerów, podobnież dla zabawy odwidzałem kąpiele w R***, w których podówczas przewyborne było towarzystwo aktorów.«

»W teatrze w R*** spotkałem się przypadkowo z dawnym moim orężnym towarzyszem, to jest: z baronem Hermanem Preussach. W roku 1809 byliśmy oba w jednym korpusie, i od tego czasu, z pewnych przyczyn, których tu nie wymienię, byłem dla niego obowiązanym. Radość nasza, żeśmy się zobaczyli, była nie do opisania, jednakże serce moje było boleścią przejęte. Zastałem przyjaciela mego bardzo zmienionego. — Ten, niegdyś tak piękny, hoży, waleczny młodzieniec, nagle zmienił się w starca, wątłym stał się na ciele i na duszy; nawet powiérzchowny ubior jego zdawał się być zaniedbanym, a nawet prawie nędznym. Wiedziałem o tém, że Preussach był majętnym; słyszałem, że po wystąpieniu z wojska ożenił się z bogatą panną; tego wszystkiego z teraźniejszym stanem jego pogodzić nie mogłem. Preussach zdawał się zgadywać myśli moje, ale do obszérnéj rozmowy nie było sposobności. Jednakże późniéj częstośmy się widywali. Przyjeżdżałem często do R***; późniéj odwidził mnie Preussach kilkakrotnie w ostatniéj mojéj kwatérze w Möllhejm.»

»Zostając z nim przez niejaki czas w zażyłości, postrzegłem w umyśle jego niejakie rozstrojenie i lekce-ważenie przyzwoitości; przystawał on z nieprzyzwoitém towarzystwem, którém w niektórych chwilach upamiętania, sam się brzydził. Cieszyło mnie to, że się do mnie przywiązał, i że zażyłość z ukształconymi oficerami w naszym korpusie do smaku mu przypadła.«

»Z czasem stał się dla mnie otwartszym: opowiadał mi, chociaż tylko w ułamkach, małżeńskie swe stosunki: że był ojcem dwojga dzieci, że córka jeszcze żyje, i że małżonka opuściwszy go, córkę do siebie wzięła. Z żalem uznawał się być winowajcą. Następnie opowiadał mi, że się z familiją swoją poróżnił, że już dawno rodzinny dóm porzucił, odbył za granicą podróże, i że już od kilku miesięcy bez wszelkiego planu i zamiaru w R*** osiadł. Mówił, że go w tém miejscu trzymała miłostka, któréj, chociaż już dawno się mu sprzykrzyła, jednak zerwaćby nie chciał. Byłato pewna baletniczka z tamtejszego teatru.«

»Tak przeminęło kilka tygodni od czasu naszego piérwszego zobaczenia się, gdy pewien przypadek jeszcze bardziéj zniewolił mi serce Preussacha. Ja i kilku z mych towarzyszów uczęszczaliśmy do bardzo poważanego domu państwa baronowstwa Kellerów. Do tego domu przyjechała podówczas w odwidziny pewna młoda dama nazwiskiem pani Siegsfeld.«

»Piękna ta i rozsądna dama była dla odwidzających ten dóm oficerów przyjemném zjawieniem, i dlategośmy bardzo często o niéj w rozmowach naszych wspominali. Pewnego razu podczas takiéj rozmowy był i Preussach obecny, i już podówczas postrzegłem, jak wielką na rozmowę naszę zwracał uwagę. Zostawszy się późniéj ze mną sam na sam, wypytywał się jak najdokładniéj o panią Siegsfeld. Powiedziałem mu wszystko, co mi wiadomém było, a gdym przestał mówić, Herman umilkł i w myślach się zatopił. Postrzegłszy to, zapytałem go; wtedy Herman po niejakim oporze przerwał swoje milczenie. Z jakiémże podziwieniem nie dowiedziałem się, że Albertyna Siegsfeld jest jego rozłączoną małżonką? Mówił on o niéj z tak wielkiém przywiązaniem i z tak gorącym zapałem, że mnie do żywego poruszył. Wyznał przedemną, że od czasu jak się z nią rozstał, opuściła go wszelka siła moralna, że się sam wzdryga nad teraźniejszym swoim stanem, i że do podźwignienia umysłu swego z tego moralnego upadku nie widzi jak tylko jeden środek, a ten jest: pojednanie się z Albertyną. Zapytany odemnie, ażali wszelka nadzieja już stracona, ażali nie ma jakiego środka w téj mierze — nie rozpaczał wprawdzie, jednakże nie miał w sobie ufności.«

»Od téj chwili szukał Preussach jeszcze bardziéj ze mną rozmowy, a to ile możności w chwilach, kiedy byłem sam na sam w domu. Albertyna była prawie jedynym naszych rozmów przedmiotem. Nakoniec udał się do mnie w prośbę, abym między nią a nim chciał być pośrednikiem. Zdziwiło mnie to żądanie z jego strony,

Wystawiłem mu, że to usiłowanie byłoby nadaremne i niepodobne. Przypominam sobie, że wspominając o trudności zbliżenia się z takim zamiarem do Albertyny, przytoczyłem mu godło Szyllera:

Doch eine Würde, eine Höhe,
Entfernte die Vertraulichkeit.

»Słowa te wprawiły w zupełne uniesienie Preussacha. Z płaczem rzucił się mi na szyję i rzekł: »Tak, nie inaczéj, po tém poznaję moję Albertynę — widzisz, jakiego straciłem anioła!« Żal owładnął tak mocno jego serce, że dla uspokojenia go, przyrzekłem mu, iż rozważę jego żądanie.«

»Przyznam się, iż zacząłem unikać obcowania z Preussachem. Ale — Blumenrodu nie opuszczałem — i rzecz osobliwsza! — odtąd zdawało się mi, jak gdyby Albertyna niejaką uwagę na mnie zwracała. Ale nie będąc tak próżnym, abym to miał przypisywać mojéj osobistości, wpadłem na myśl, że może Herman bez mojego przyczynienia się znalazł sposobność wejścia z swoją małżonką w korespondencyję pisemną, i że przed nią wyjawił, iż jestem w ich sekret wtajemniczony.«

»Że w ogólności domysł mój nie był mylny, to mi późniéj się wyjaśniło; ale nigdy dowiedzieć się nie mogłem, jakich środków Herman użył owe porozumienie się przywieść do skutku.«

»Dosyć na tém, wkrótce przyszło do oświadczenia między mną i Albertyną. Byłoto po raz piérwszy, jednego wieczora, gdyśmy pieszo z wiejskiéj przechadzki powracali. Nie pamiętam już dokładnie toku rozmowy; wiém tylko to z pewnością, iż muzyka była mi powodem, żem przed nią o moim niedawno przybyłym przyjacielu, i o jego bardzo przyjemnym głosie wspomniał. Jakoż istotnie w kilku towarzyskich zabawach sprawił nam Herman wielką przyjemność swoim wdzięcznym śpiewem. Albertyna zapytała z pozorną obojętnością o nazwisko mego przyjaciela, a ja wymieniłem jéj barona Preussach. Tym sposobem wszczęło się powierzenie. Albertyna w téj rozmowie, która coraz bardziéj do celu się zbliżała, oświadczyła, iż jéj nie jest niewiadomo, że ja o jéj stosunkach zawiadomiony jestem, że wié, czego Herman po mnie wymaga; że mnie przed nią jako człowieka zacnego charakteru zalecił, i że ona daje mi dowód swojego zaufania, które ja jako człowiek honoru zapewne cenić będę umiał. Prosiła więc, abym Hermanowi oświadczył, iż do jego życzeń przychylić się nie może. Przebaczyła mu wprawdzie, ale surowa wola ojca, któréj ona nigdy sprzeciwić się nie może, pojednaniu ich nieprzebytą przeszkodę położyła. »Przysięgłam«, rzekła, »na wszystkie świętości, iż nigdy w téj mierze bez jego zezwolenia, żadnego kroku nie uczynię.« Tak się skończyła piérwsza ta rozmowa z Albertyną. Oświadczyłam to wszystko Hermanowi. Zdawało się, iż się na tém wszystko skończyło. Wkrótce dowiedziałem się z niemałym przestrachem, że Herman ciągle do Blumenrodu pisywał, że nawet listy z tamtąd odbiérał. Czyniłem mu z tego względu ostre wyrzuty, On zaś uściskawszy mnie z uniesieniem, rzekł: »Maxie, nie zniweczaj moich zamysłów! W tobie, w moim jedynym przyjacielu, moja ufność cała. Albertyna zawiérza mnie i — tobie! Wkrótce wszystko ci się wyjaśni!«

»Zdziwienia mojego opisać nie podobna; wątpiłem jeszcze; mniemałem, że Herman lub mnie, lub sam siebie oszukuje. Ale rzecz się miała tak, jak powiedział. Albertyna zezwoliła, nie na pojednanie się wprawdzie, ale na schadzkę w trzeciém miejscu. Z jakiego powodu odmieniła postanowienie swoje, dopiéro późniéj się dowiedziałem. Herman umiał ugodzić w najtkliwszą stronę miłości macierzyńskiéj, nadmienił on, że familija jego zamyśla córkę reklamować, i że on, jeżeli się Albertyna do jego życzenia nie przychyli, zamiar rodziny swojéj popiérać może przymuszonym będzie. Jednakże jakim sposobem Albertyna przy swoim rozsądku, tą pogróżką zastraszyć się dała, jest dla mnie dotychczas zagadką. Trudno mi było wtedy zająć się jéj rozwiązaniem. Podczas moich odwidzin w domu Ketlerów, ledwie mogłem na chwilkę być sam na sam z Albertyną, i tyle tylko dowiedziałem się, iż Albertynie wiadomy zamysł Hermana; że go pochwala, i że mnie Herman o nim oznajmi.«

Zamysł jego był taki:

»Stan szlachecki z okolicy tamtejszéj zwykł zgromadzać się z swémi rodzinami w pewnych umówionych dniach w Hilgenbergu; Albertyna z familiją Ketlerów, miała ponajwiększéj części w tych zabawach udział. Towarzystwo bywało liczne; wolne od etykiety, używało wiejskiéj przechadzki; zwidzało pojedyńczo albo w grupach różne okolice; słowem, byłoto towarzystwo, z którego bez ściągnienia na siebie uwagi, na czas krótki oddalić się było można.«

»Herman ułożył plan w ten sposób, iż Albertyna pod pozorem zaprosin, przez posłańca z towarzystwa oddalona, przybędzie na umówione miejsce, z kąd ją znowu ja na miejsce inne do Hermana zaprowadzić miałem. Piérwsza schadzka była przeznaczona w pomieszkaniu pewnéj, dobrze mi znanéj, szanownéj kobiéty w Hilgenbergu. Nazwisko jéj wypadło mi z pamięci, lecz dóm jeszcze dziś wskazać mogę.«

»Czy nie zwała się ona Seehausen?« — zapytał prezydent.

»Nie! — Nazwisko Seehausen gra inną rolę. Pod tém nazwiskiem napisano list zapraszający, którym Albertynę z towarzystwa wywabić się starano. — Druga schadzka, gdzie Herman sam oczekiwał, były przez niego przezornie obrane, samotne ruiny.«

»Znamy je«, rzekł prezydent. »Ruiny Raubstejn.« —

»Tak mi je nazwano. Herman odwidzając mnie często w tym czasie, upatrzył je w swych przechadzkach z Mölhajmu, do swego planu za dogodne, tém bardziéj, że Raubstejn był odludném, i przez zabobon ludu, jakby miejscem zaklętém.«

»Awanturnicze, a nawet niebezpieczne to przedsięwzięcie nie uszło domysłu mego. Chciałem temu przeszkodzić, ale Albertyna sama już tego sobie życzyła. Już się cofnąć nie mógłem. Wszak tu chodzi, myślałem sobie, o szczęście dwojga osób, które w równym stopniu do mego przywiązania prawo mają. Tym sposobem oswoiłem się wreszcie z tą myślą, tém bardziéj, że plan ten najpewniéj tylko w ten a nie inny sposób uskutecznić było można. Herman sam nie mógł w Hilgenbergu wystąpić, tam znały go niektóre osoby i to z nienajlepszéj strony; nie chciał także, aby z nim Albertynę widziano; gdyż z tego wielkie mogłyby wyniknąć niesnaski. Gdyby ją zaś ze mną ujrzano, to przypadkowe niby spotkanie się, jużby łatwiéj wytłumaczyć się dało, gdyż ja byłem jednym z tych, którzy nieraz Hilgenberg odwidzali, i tamże w towarzystwie z Albertyną bywałem; słowem, po ścisłéj rozwadze, sposób ten zdawał się być najmniéj niebezpieczny.«

»Dzień 10go sierpnia wyznaczono na wykonanie tego zamysłu. Nadmienię tu w krótkości, że nieprzyjazne w tym dniu powietrze — albo raczéj bardzo przyjazne! — cały ten zamysł zniweczyło. O, gdybyśmy byli to skinienie nieba zrozumieli! Ale nie! Herman odłożył tylko na dni ośm tę sprawę!«

»Wtym czasie ocknęła się w sercu mojém nowa obawa, zacząłem mieć podejrzenie, ażali Herman nie ma innego zamysłu nad ten, z którym przedemną i Albertyną się przyznał. Zkąd powstało we mnie to podejrzenie, już sobie nie przypominam. Pamiętam tylko, żem przestrzegł Albertynę listownie. Nie odebrałem żadnéj odpowiedzi. Lecz dowiedziałem się późniéj z własnych ust Albertyny, chociaż tylko napomknieniem, iż postanowiła niezawodnie dnia 17go sierpnia przybyć na oznaczone miejsce.«

»Herman i ja udaliśmy się na nasze stanowiska. Lecz Albertyna — Bogu dzięki! pomyślałem sobie podówczas — nie przybyła. Państwo Ketlerowie otrzymawszy niespodzianą wizytę, nie mogli przyjechać do Hilgenbergu.«

»Herman jednak nie tracił nadziei. Zapewnił, że Albertyna dnia 24. niezawodnie przybędzie.«

»Nakoniec zbliżył się ten dzień nieszczęśliwy, który jako najstraszniejszy w mém życiu, wiecznie tkwić będzie w méj pamięci.«

»Jak wprzódy, tak i tą razą przybył do mnie Herman pod wieczór. Lecz będąc niecierpliwy, niedługo u mnie zabawił; poszedł pieszo o kilka godzin drogi, w pobliżu umówionego miejsca noc przepędzić.«

»Na drugi dzień zrana — byłato sobota — udałem się konno do Hilgenbergu. Służący mój jadący za mną, miał odstąpić swojego konia Hermanowi, i wieczorem oczekiwać nas we włości pod Raubstejnem. — Jadąc doliną po pod Raubstejn, ujrzałem znak umówiony, który mię uwiadomił, że się Herman już w tych zwaliskach znajduje. Pospieszyłem do Hilgenbergu i natychmiast udałem się do sali, gdzie się zwykle zbierało towarzystwo. Goście, którzy się w to miejsce zgromadzają, za przybyciem swoim wpisują zaraz w otwartą książkę swoje nazwiska; podług tego spisu urządza gospodarz miejsca przy stole. Z niespokojnością przeglądnąłem spis osób; życzyłem sobie, abym gości z Blumenrodu w nim nie znalazł. Jakoż w saméj istocie nie było w tym spisie państwa Ketlerów, ale — Albertyna była. Przyjechała ona z pewną hrabiną, która miała dwie córek. Wtedy już nie było dla mnie wyboru, nie mógłem już cofnąć mojego przyrzeczenia. Nie wchodząc więc do salonu, pospieszyłem do poufnego domu; z tamtąd posłałem wprzód już na ten cel przygotowany bilet; — przeczekałem pełną niespokojności godzinę — Albertyna przyszła.«

»Przyznam się szczérze, iż ta spokojność, ta niezachwiana godność umysłu, z jaką ta nadzwyczajna kobiéta narażała się na to ze wszech miar niebezpieczne przedsięwzięcie, które mnie, mężczyznę, takiego niepokoju nabawiło, ta niewzruszona odwaga mówię, nietylko mię zdziwiła, ale nawet i zawstydziła. Nie było czasu do stracenia; czém prędzéj więc przez ogród udaliśmy się w drogę ku lasowi, który nas wkrótce swym cieniem osłonił. Z tamtąd idzie ścieżka najprzód zwolna, potém coraz stromiéj aż do zwalisk Raubstejnu. Albertyna była w ubiorze strojnym, mocno zasznurowana; mając na nogach gładkie, cienkie trzewiki, ślizgała się prawie za każdym krokiem; z wielką trudnością uchroniłem ją, że nie upadła. Jéj prawdziwie heroiczna wytrwałość przemogła wszystko.«

»Na kilka kroków przed ruiną, wyszedł naprzeciw nam Herman. Oczekiwał on nas po

drugiéj stronie zwalisk i stał tam już od godziny. Prowadząc Albertynę pod rękę, czułem wyraźnie iż mocno biło jéj serce. Nie mogłem wiedzieć czy z utrudzenia, czyli też z powodu zbliżenia się stanowczéj chwili. Ta chwila stanowcza nadeszła! ale — niestety! już z tą chwilą stanęło i okropne przeznaczenie nad głowami naszémi!«

»Już wprzódy nadmieniłem, w jakim stanie zostawał Preussach, jak mocno zmieniona była jego powiérzchowność. Przed piękną, wdzięków pełną żoną, która prawie dziewiczą świéżością kwitnęła, stanął wybladły, pochylony, znędzniały małżonek. Co za widok! Jakież uczucia ocknąć się musiały w czystém, szlachetném i nieskażoném sercu Albertyny! Ale na nieszczęście, nie koniec na tém! Chętnie pokryłbym głęboko, wieczną zasłoną, co jeszcze *mam* i *muszę* powiedzieć; jest to kluczem do trajicznego wypadku schadzki nieszczęśliwéj! Herman nie był już trzéźwy, gdy nas przewitał — postrzegłem to zaraz na wstępie; przyniósł on ze sobą wino do ruin Raubstejnu; widać było oczewiście, iż mocnemu napojowi temu za nadto się oddał.«

»Stan ten, którego z początku Albertyna nie postrzegła, nie mógł późniéj ujść jéj baczności. Postępowanie Hermana było gwałtowne i natarczywe, i widać było, iż go zupełnie w téj nieszczęsnéj chwili odstąpiła owa przyjemność, którą nieraz, gdy tylko chciał, damom się podobać umiał. Spojrzawszy na Albertynę poznałem, iż żałowała uczynionego kroku. Ja z mojéj strony, pokonawszy w sobie nieprzyjemne uczucie, rozmowę wszcząć usiłowałem.«

»Oboje małżonkowie zaraz z początku, gdym im dał do zrozumienia, że ich samych zostawić zamyślam, nalégali na mnie z prośbą, abym był nierozdzielnym świadkiem ich rozmowy. Przychyliłem się do ich prośby. Podobnież i stary człowiek, który w to miejsce był przewodnikiem Hermana, zostawał także przy nas w niejakiém oddaleniu.«

»Takie było życzenie Albertyny. Z rozmowy, którą powiększéj części prowadzono w języku francuzkim, starzec nic nie rozumiał.«

»Jakaż była osnowa téj rozmowy? Oto Herman namawiał Albertynę wszelkiémi sposobami, aby się znowu z nim połączyła, Albertyna zaś z swojéj strony, odwoływała się ciągle do woli swego ojca. Już było z południa, wszyscy byliśmy znużeni, a najbardziéj Albertyna. Herman kazał swemu przewodnikowi dobyć z kosza przyniesioną żywność i kilka butelek wina. Zaczęliśmy jeść, i Albertyna była zmuszona mieć niejaki udział w tém pożywieniu. Nieszczęśliwy Herman, pijąc jeden kieliszek po drugim, stawał się coraz natarczywszym w swych prośbach, a nakoniec groźby swoje aż do grubijaństwa posunął. Albertyna usłyszawszy to, powstała z miejsca, zdawało się, iż się oddalić chciała. Ja czekałem tylko na skinienie. Herman postrzegł to, i pojrzawszy na nas prawdziwie szatańskim wzrokiem, rzekł:

»Jak widzę, wyście oboje w porozumieniu!«

Albertyna spojrzawszy nań z pogardą, rzekła do mnie: »Mości Nordek! pójdźmy!«

»Odchodzisz — więc?« — wrzasnął Herman przeraźliwym głosem. Miał on téj chwili w swoim ręku nóż duży i bardzo ostry.

»Odchodzisz? — Idź! odepchniéj mnie od siebie, i wtrąć znowu w to życie, które piekłem jest dla mnie! Co mówię, życie? Nie! ty mnie w grób wtrącasz! Idź więc! ale wprzódy nim odejdziesz, ujrzysz mnie trupem u nóg swoich!«

To rzekłszy wymierzył nóż w obnażone swe piersi.

»Co się późniéj stało, nadaremnie usiłuję przywołać sobie w pamięć w należytym porządku. Pamiętam tylko, żem to nierozważne słowo rzekł do niego:

»Hermanie! Nie wstydziszże się przed szlachetną małżonką twoją grać rolę aktora?«

»Słowo to rozsrożyło jeszcze bardziéj zaciekłość Hermana.«

»Nikczemniku!« odrzekł do mnie, »cóż ty sądzisz, że ja umrzeć nie umiém?«

»To było ostatnie słowo, które z ust Hermana usłyszałem, i téj saméj chwili ujrzałem go już skrwawionego na ziemi. W ściśnionéj dłoni trzymał rękojeść noża, a ostrze utopił w swoje serce. — Nad nim, prawie mdlejąca, klęczała Albertyna.«

»Postrzegłszy to, prawie bez przytomności poskoczyłem ku niéj i podniosłem ją z ziemi. Miała ona skrwawioną prawą rękę. W chwili, gdy Herman topił nóż w sobie, Albertyna pochwyciła za ostrze i skaléczyła się, jednakże — Herman już za głęboko wbił nóż w swe piersi!«

»W téj chwili przyskoczył także przewodnik, i wydobył mu z pośpiechem z piersi nóż skrwawiony — lecz już było zapóźno. Tylko słabo ruszył głową, oczy w słup mu stanęły, wydał jęk niezrozumiały — iskra życia zgasła!«

»Albertyna, ta słaba, wątła, tkliwa niewiasta była pierwszą, która w téj rozpaczliwéj chwili całą przytomność umysłu odzyskała. Zajmowała się ona tylko konającym swoim małżonkiem; ledwo że mi pozwoliła zatamować krew z ręki i zawiązać jéj własną ranę.«

»Krew z rany Hermana płynęła strumieniem, suknie moje były całkiem zbroczone. Albertyna musiała uchylić się od trupa, aby się od splamienia sukni ustrzegła, któraby ją zdradzić

mogła. Ja zatkałem mu ranę chustką. Przewodnik rozdarł długi, jedwabny szal, który miał Herman w około szyi, i obwiązał nim po chustce ciało nieboszczyka. Poczém zaczęliśmy się naradzać, co począć z trupem.«

»Starzec był tego zdania, że gdy ciało zostawimy w tém miejscu, którego nieraz przez lat kilka żaden człowiek nie zwidza, rzecz zostanie całkiem ukrytą; lecz natenczas zgnije umarły bez pogrzebu.«

»Przez Boga żywego! -- rzekła Albertyna -- w tém miejscu trupa zostawić nie można! Z rzewnémi łzami błagała mnie, abym zważył, że umarły jest przecież jéj małżonkiem, ojcem jéj córki, że jéj niegdyś był miłym. Myśl, że bez modlitew kapłana, bez pogrzebu, w niepoświęconéj leży ziemi, sama ta myśl jużby ją zabiła.«

»Na te słowa rzekł starzec: »Modlitw kapłana i grobu na cmentarzu nie będzie miał ten nieszczęśliwy! Chrześcijanie w tym kraju są bardzo surowi, zwłaszcza jeżeli kto sam sobie życie odbierze! Ale życzenie pani uskutecznioném być może, jeżeli tak zrobimy, że się zdawać będzie, iż nieboszczyk był napadnięty, zabity i zrabowany. Niewinne kłamstwo to nikomu nie zaszkodzi.«

»Rozsądna rada starca, podobała się mnie, i Albertyna ją pochwaliła. Za pomocą przewodnika zdjąłem z trupa suknie, wziąłem sakiewkę, zégarek i pularés. Suknie równie jak i tajstrę myśliwską nieboszczyka chcieliśmy spalić; lecz zważywszy, iż rozchodzący się dym mógłby nas wydać, odstąpiliśmy od tego przedsięwzięcia. Suknie i tajstrę wrzucił przewodnik w jamę, znajdującą się za gruzami, i nakrył je dużemi kamieniami.«

»Zégarek, sakiewkę, sygnet i pularés chciała Albertyna, ażebym wziął do siebie: ale ja czułem jakiś niepokonany wstręt od własności mojego przyjaciela; namówiłem więc Albertynę, by te rzeczy wzięła z sobą, zwłaszcza, że je w potrzebie lepiéj ukryć mogła. Został się tylko sygnet na palcu prawéj ręki, którego, że był mocno wrósł w ciało, zdjąć nie było można; a ja nie śmiałem namawiać do skaléczenia trupa. Starzec zwrócił uwagę, iż rozsądniéj będzie sygnet zostawić, zwłaszcza, że podobne klejnoty nawet zbójcy nietykalnémi zostawiają dla tego, że się przez nie po największéj części zbrodnia wykrywa. A gdy jaki poczciwy człowiek trupa znajdzie, pozna po sygnecie, że nieboszczyk był znacznego urodzenia, a tém samém sygnet i do pogrzebu mu dopomoże.«

»Nie potrzebuję więc nadmieniać, żeśmy potém trupa pod kaplicę zanieśli, a to w zamiarze, aby go prędzéj ludzie znaleźli. Albertyna, pomimo mojéj woli — udała się za nami aż do kaplicy; po skończonéj czynności naszéj, widziałem ją klęczącą i modlącą się przed obrazem świętéj Anny.«

»Nakoniec zbliżył się czas wracania do Hilgenbergu. Przewodnik podjął się zaprowadzić Albertynę do chyrurga, aby jéj ranę opatrzył i obwiązał. Prowadząc ją z téj górzystéj pustyni, dopiéro dowiedziałem się, jakich sposobów Herman użył dla skłonienia jéj do téj przechadzki. Opowiadała mi, iż pewnego razu podczas przyjęcia Najświętszego Sakramentu złożyła przysięgę ojcu swemu, że już nigdy z Hermanem widzieć się nie będzie; że przysięgi téj aż dotychczas święcie przestrzegała; że tylko ta jedna myśl, iż familija Preussachów córkę jéj odebrać może, że ta obawa, którą nawet niektórzy prawnicy w niéj wzbudzili, — spowodowała ją do złamania danego ojcu przyrzeczenia, za co teraz tak srogo pokutować musi.«

»Ach, ojciec mój«, rzekła z boleścią duszę przenikającą, »przestrzegał mnie, abym unikała przekleństwa, które za każdym złym uczynkiem krok w krok idzie! zwykł on zawsze mawiać:

»To właśnie skutkiem, klątwą złego czynu,
Że zła ród biorąc, w złe się rozkorzenia!«

Oby on się o moim występku nigdy nie dowiedział! Toby go do grobu wtrąciło! Milczéć będę o tym krwawym wypadku, milczéć choćby się wyjawił, choćby nawet o zabójstwo mnie posądzono, milczéć będę — choćby na mnie czekał miecz katowski!«

»Przyrzekłem jéj uroczyście tajemnicę. Wieczne milczenie przyrzekł jéj także stary przewodnik tknięty żałośnym jéj płaczem. — Nakoniec musiałem się rozłączyć. Jużeśmy zaczęli z lasu wychodzić, lękałem się, aby nas ludzie nie spotkali! Suknie moje były całkiem krwią spluskane, na Albertyny sukni było tylko kilka plam, które łatwo skryć, a w najgorszym przypadku, na skaléczoną rękę złożyć było można. Atoli — inna obawa zaczęła dręczyć serce moje. Albertyna z skaléczonéj ręki zgubiła rękawiczkę, i sama nie wiedziała w którém miejscu; lecz mię zapewniała, że krwią splamioną nie była.«

»Niedowierzając temu zapewnieniu, pożegnałem się z nią z pośpiechem. — Albertyna poszła z starcem, i odtąd już jéj aż do dnia dzisiejszego nie widziałem! — Skończyłem zeznanie moje, i dzięki Przedwiecznemu, że jeszcze nie zapóźno!« —

— »Wierzę zeznaniu wpana«, rzekł prezydent. »Lecz — przepisom prawa zadosyć stać musi się. Wpan nadmieniłeś o naocznych świadkach; możeszże wymienić nazwisko tego starca?«

»Zapisałem je sobie w puilaresie«, odrzekł Nordek. »Człowiek ten zowie się Floryjan Krauss, i ma własny domek w włości Zellenbach.«

»Lecz jeszcze jedna okoliczność«, rzekł prezydent: »Kartkę tę znaleziono w puszce od jałmużny przy kaplicy świętéj Anny, przy niéj sakiewkę nieboszczyka z kilką monetami śrebra i złota.«

Nordek spojrzawszy z zadziwieniem na te przedmioty, rzekł: »Jak się te rzeczy tam dostały, nie jest mi wiadomo. Prawda, iż ta sakiewka jest Hermana; kartka zdaje się być wydartą z jego puilaresu. — Co do tego pisma, miałażbyto być ręka Albertyny? Być może, iż tém jedynie zajęta, aby nieboszczyk na chrześcijańskim cmentarzu był pochowanym, wpadła na tę myśl, i w owém zamieszaniu przyprowadziła ją do skutku, gdyż długo podczas naszego zatrudnienia około trupa, w kaplicy zostawała. —

Że objaśnienie to było prawdziwe, okazało się, gdy Albertyna z równą dokładnością przez prezydenta badana, opowiedziała wszystkie wypadki z owego dnia nieszczęśliwego, które się zupełnie z zeznaniem jéj wybawcy zgadzały.

Wywiedziano się także i o starym człowieku, który jeszcze żył, i wszystko wyznał.

Po wyjaśnieniu całéj téj tajemnicy, pozostaje tak dla sędziów, jak i czytelników, jeszcze jedno pytanie: Jak się to stało, że Nordek, ów świadek tego ważnego wypadku, od głównéj osoby tak zupełnie był oddalony? Jakim sposobem dopiéro wtedy dowiedział się o jéj niebezpieczeństwie, gdy takowe już na najwyższym stopniu stanęło?

Na to taka odpowiedź:

Nordek, był dowódzcą szwadronu, od którego mu bez wiedzy właściciela pułku przez noc oddalić się nie było wolno. W nieszczęsną sobotę oddalił się on tylko w téj myśli, iż przed nadejściem nocy znowu powróci. Wszak Herman chciał u niego przenocować, a w niedzielę do K*** powrócić. Nordek pożegnawszy się z Albertyną, udał się znowu na Raubstejnu dla szukania rękawiczki, i pozostał tam aż do ciemnego zmroku. Potém spuściwszy się w dolinę, szukał drogi ku włości, w któréj huzar z końmi na niego czekał. Przedzierając się przez chaszcze, zbłądził z drogi, i był przymuszony aż do białego dnia pozostać w lesie. Nakoniec dzień nadszedł, a Nordek postrzegł z przestrachem, że w mylnym kierunku zupełnie od włości się oddalił. Dokądże się teraz miał udać? Droga do wsi szła przez dolinę, którędy w niedzielę liczni Chrześcijanie do kościoła spieszyli. Nie chciał więc pokazać się ludziom w krótkim i obcisłym surducie cywilnym, który białe, krwią splamione spodnie niedokładnie zakrywał. Nie widział innego ratunku jak tylko przez cały dzień sierpniowy w lesie pozostać! — Nareszcie nadszedł wieczór. Nordek już dokładnie obeznany z miejscowością, puścił się znowu w drogę ku włości, a gdy tam przyszedł, była już godzina dziesiąta. W gospodzie jeszcze nie spali — pozostał więc przez ostrożność na dworze pociemku, i dowiedział się — że huzar jego już w południe odjechał; domyślał on się, iż panowie niezawodnie pieszo do domu wrócili, zwłaszcza, że wiedział, iż pan baron jest wielkim przyjacielem przechadzek. Znużony oficer musiał rad nierad pójść pieszo do Mölhejmu. Nad rankiem stanął w swojéj kwatérze, tém zadowolony przynajmniéj, że go nikt na drodze nie spotkał, i że się pozbył swoich sukni skrwawionych. Gdy się rozwidniło, poszedł zwidzić stajnie szwadronu — ale zastał je próżne. — Wkrótce się dowiedział, że cały szwadron dostał rozkaz do marszu.

W jakimże nie był kłopocie! Dowiedział się wprawdzie także w którą się stronę udał — ale jak się do niego dostać? Nakoniec kupił konia i śpieszno pogonił za szwadronem. Przybywszy do sztabu, przymuszony był oddać jenerałowi szablę i w smutnym stanie więźnia odbywać dalszy pochód na miejsce, które dla szwadronu na zimową kwatérę przeznaczono. Tym sposobem odpokutował za swoje uchybienie, ale też o trzydzieści mil oddalił się od okolicy nadmienionéj.

Wkrótce pułk jego został zmniejszonym, a majętni oficerowie podali się do dymissyi. Nordek wróciwszy do dawnego swojego zatrudnienia, to jest do urzędu górniczego, odznaczył się w krótkim czasie swojémi wiadomościami, i zjednał sobie względy u swoich przełożonych, a nakoniec wezwano go do towarzyszenia górniczéj wyprawie, którą rząd podówczas do Brazylii wysyłał. Zadowolony pięknémi widokami na przyszłość, które dla niego w nowym świecie się otworzyły, postanowił osiąść w Brazylii, jednakże wrócił jeszcze raz do Europy, dla pożegnania się z dawną swoją ojczyzną.

Przy téj sposobności nie zaniedbał zwidzić wszystkich miejsc, na których niegdyś walczył za oswobodzenie ojczyzny. Przybył także do okolicy, w któréj był świadkiem nadmienionych wypadków. Gazety departamentu oznajmiły o rozpoczęciu sądu asyssów w Hajnburgu; nadmieniły o bardzo ważnym procesie; imiona stron oznaczone były początkowémi zgłoskami. Po tych głoskach poznał Nordek z przestrachem, że obżałowaną jest Albertyna! Reszta jest czytelnikowi wiadoma.

Prokurator królewski odstąpił bez wszelkiego wahania się od swojego oskarzenia.

Albertynę uznano za niewinną i wypuszczono na wolność. Najznakomitsze familije z poblizkich okolic, nawet domy książęce ubiegały się z oświadczeniem dla niéj najtkliwszego udziału. Lecz Albertyna nie przyjmowała żadnych odwidzin. Z największym pośpiechem wybiérała się w podróż do swojéj stroskanéj matki i małoletniéj swojéj córki.

* * *

Przebywając 1820 roku w Marsylii, zastałem w jednéj oberzy pod dozorem młodéj *Bony*, przyjemną, niemal siedmioletnią dziéwczynkę, która Konstancyją się zwała. Poznawszy po mowie *Bony*, że jest Niemką, wszcząłem z nią rozmowę, i dowiedziałem się, że czeka tylko na dziéwczynki rodziców, z którymi do Brazylii odpłynąć mają.

Wiadomość ta mocno mię przeraziła; jestto osobliwsze uczucie, które się w nas obudza, gdy widzimy choćby nawet obcych ludzi rozstających się na zawsze z swą ojczyzną! Gdym w téj mierze wynurzył myśli moje, *Bona* odrzekła:

»To prawda; pan Nordek, radzca górniczy i małżonka jego, nigdy się tego w swoich młodych latach nie spodziéwali, lecz doznali bardzo wiele smutku w swém życiu. Teraz, gdy matka mojéj pani umarła, już ich nic więcéj do ojczyzny nie wiąże.« W dalszym ciągu rozmowy dowiedziałem się, że Konstancyja jest pasierbicą pana Nordek, z domu baronówna Preussach. Teraz dopiéro byłem pewny, że piękna ta dziéwczynka była córką Albertyny i nieszczęśliwego trupa z pod kaplicy św. Anny.

Posługacz oberzy oznajmił *Bonie*, że jéj państwo już przybyli i w powozie czekają. *Bona* pożegnawszy mię, pobiegła z dziéwczynką do powozu. Ja przystąpiłem do okna. Przystojny mężczyzna z piękną damą siedzieli w odkrytym powozie. Moi nowo-znajomi pożegnali mię jeszcze raz niemém skinieniem; pan Nordek postrzegłszy to, uchylił grzecznie kapelusza. I dama spojrzała w okno, w którém stałem — ukłon jéj był nieco oziębły i dumny, jednakże dozwolił mi przypatrzyć się znanéj, nigdy niezapomnianéj i zawsze jeszcze pięknéj twarzy. — Byłato Albertyna.

Powóz potoczył się do portu, i wkrótce Ocean oddalił ją od ojczyzny, w któréj tyle nieszczęść doznała!!

POŻEGNANIE ARABSKIÉJ NIEWIASTY.

(PODŁUG WIKTORA HUGO.)

A mieszkajcie z nami. Ziemia w mocy waszéj jest, sprawujcie, handlujcie a osadzajcie się.

Genezys Rozdz. XXXIV.

Gdy cię nic wstrzymać nie zdoła od drogi:
Ni złote niwy, ni palmy cień błogi,
Ni ciche szczęście na dostatków łonie,
Ni sióstr mych na twój widok serca bicie,
Które wesołe ongi wiodąc życie,
Tylko do tanów połączały dłonie.

Więc żegnaj w swojskie kiedy wracasz błonia,
Samam twojego osiodłała konia,
By cię śród puszczy nie zrzucił zuchwały;
Czarny jak gałka, grunt kopytem orze,
Gładki jak bryła obmytéj przez morze
Stérczącéj z brzegów bazaltowéj skały.

Odjéżdzaj! kiedy nie jest w twéj naturze
Gnuśnie na miękkiéj odpoczywać skórze,
W chatce plecionéj z bambusowéj trzciny;
Leniwy umysł karmić bajek zbiorem,
I życzyć sobie w marzeniach wieczorem
Skrzydłami orła wzbić się w gwiazd krainy.

Gdybyś był obrał jedne z naszych grona,
Taby dla ciebie była poświęcona,
Jak wierna sługa do wszystkiego zgoła;
W senby cię wiodła jéj pieśń słodko-brzmiąca;
Gałązką palmy śród nocy gorąca
Owad z twojego spędzałaby czoła.

Ale odjéżdzasz i nic cię nie wstrzyma,
Tęskno w dal patrzysz smutnémi oczyma,
Dzikiego konia przynaglasz do biegu;
A na żałobę pozostałych głuchy,
Lecisz, rozpędzasz włócznią nocne duchy
Do ojczystego zatęskniwszy brzegu.

Jeźli raz kiedy powrócisz w te strony,
Wejdź na tę górę, któréj szczyt zgarbiony
Podobny z-dala postaci wielbłąda;
Z tamtąd dostrzeżesz jak ul chatkę moję,
W któréj dla ciebie otwarte podwoje,
A w które tylko jaskułka zagląda.

A nie powrócisz, to chwilę pamięci
Niech naszym dziéwom twe serce poświęci,
Które po piasku skoczne wiodą tany;
Ptaku wędrowny — nadobny młodzianie —
Pamiętaj o nich, bo często zostanie
Nie w jednéj sercu twój obraz wspomniany.

Chroń się przed spieką słońca w twéj podróży,
Która rumianym jagodom nie służy,
Chroń się przed puszczą, która piaskiem miecie;
Unikaj nocy, w któréj zbrodnia czynną,
Byś wrócił szczęśnie pod strzechę rodzinną,
W dóm ojców tobie najmilszy na świecie.

S. J.

POLOWANIE NA NIEDŹWIEDZIE.

Z Angielskiego

PRZEZ KAPITANA MARYAT.

Jasny promień rzuciło słońce na pokład naszego statku, a wiekiem pochylony Turnbul zaczął nam prząść gawędkę; tak bowiem powieści swe nazywał. Lubił on przypominać sobie owe czasy, w których się w Grenlandyi łowieniem ryb i psów morskich zatrudniał. Ten wesołego humoru kapitan, daleki od przesady i chełpliwości, jaką sobie niektórzy żeglarze przywłaszczają, opowiadał nam pewny wypadek, który dość do prawdy jest podobnym. Opowiémy go jego własnémi słowy:

»Pewnego razu zdarzyło się mi, iż mnie omal żywcem lisy nie pożarły, a to bardzo dziwnym sposobem. Trzy miesiące spędziłem w onczas na pokładzie pewnego Grenlandzkiego żeglarza, ułowiłem był kilka psów morskich i haja. Jakoż cała owoczesna wyprawa bardzo nam się pomyślnie wiodła. Szczęśliwym przypadkiem zahaczyliśmy kotwicą o olbrzymią górę lodową, która okręt nasz jak liną za sobą ciągnęła. Jednego ranku ułowiliśmy ogromnego wieloryba, i właśnieśmy brzuch mu rozpruli i wydobyli trzewa, gdy majtek siedzący w koszu masztowym krzyknął, abyśmy się mieli na baczności, gdyż duża polarna niedźwiedzica z młodém płynie ku naszéj górze lodowéj, na któréj po jednéj stronie ściérwo wieloryba leżało. A że już przedtém ułożyliśmy sobie polowanie na lisy, które bez obawy gromadami na naszéj ogromnéj lodowéj górze się uganiały i ściérwem się wieloryba żywiły; przeto nie zmięszaliśmy się bynajmniéj tą przestrogą i siedmiu z nas na przeciw niéj wyszło. Wiatr był zupełnie ucichł, w krótkim czasie postrzegliśmy zapowiedzianą niedźwiedzicę, która z początku umknąć chciała, ale że młode jéj śpieszno po lodzie biédz nie umiało, więc się zatrzymała na chwilę. Wziąwszy na cel młode, ubiliśmy je, wiedząc, iż tym sposobem i macierz nam nie umknie. Jakoż w saméj rzeczy niedźwiedzica dotąd opuścić nas nie chciała, aż pokąd jedna strona zwycięztwa nie odniosła. Nigdy nie zapomnę téj chwili, gdyśmy raz po razu do niéj ognia dawali, a ona widząc lód zbryzgany krwią swego płodu, okropnie ryczéć zaczęła. Nakoniec odwróciwszy się od młodego, z roziskrzonym wzrokiem ku nam się rzuciła. Teraz szło o życie nasze!«

»Uszykowawszy się w szeręg, najéżyliśmy ku niéj nasze włocznie, lecz nadaremnie; z wściekłością wyparowała nas z miejsca, przyczém dwóch z naszych towarzyszy na ziemię obaliła, jednakże drudzy, dzięki naszemu przeznaczeniu, na nogach się ostali. Poczém ugodzona od nas w piersi trzema kulami, nieżywa padła.«

»Wszelako nie łatwą było rzeczą uporać się z tą ogromną potworą, gdyż większą była od wołu najtuczniejszego. Nimeśmy ją całkiem dobili, wiatr się tymczasem obrócił, i gęsty śniég padać zaczął. Wtedy uporawszy się z niedźwiedzicą, zamyśliliśmy powrócić do okrętu. Było to najrozsądniejsze postanowienie, jakieśmy w naszym stanie przedsięwziąć mogli. Lecz ja byłem tego zdania, że burza niezadługo przeminie; żal mi było porzucać przewyborną skórę niedźwiedzicy i dla tego zdjąć ją z niéj postanowiłem. Byłem bowiem przekonany, że skoro tylko na chwilę oddalimy się z tego miejsca, natychmiast zbiegną się lisy ze swojémi młodémi, i skórę na nic popsują. Jednakże towarzysze moi nie chcieli przystać na mój wniosek i puścili się do okrętu, ale burza tak mocno miotała im śniég w oczy, iż się zbłąkali, i tylko podług dzwonu kiérować się mogli, który się na okręcie dla ich bezpieczeństwa nieustannie odzywał. Co do mnie, postrzegłem, chociaż za późno, żem sobie niemądrze postąpił; gdyż burza coraz bardziéj się srożyła, i zaledwo zdjąłem czwartą część skóry, a już uczułem, że członki moje od zimna drętwiéć zaczęły; przewidywałem więc, że mi obok niedźwiedzicy zamarznąć przyjdzie. Ale człowiek w niedoli na sposoby się bierze; otóż skoro zdjąłem skórę z podbrzusza, natychmiast rozprółem niedźwiedzicę, wydobyłem z niéj trzewa, i wlazłszy w nią, umieściłem się jak mogłem najwygodniéj. Poczém zamknąwszy otwór, uczułem najprzyjemniejsze ciepło; miałem więc legowisko bardzo dogodne, gdyż ciepło zwiérzęce ochraniało mnie od ostrego mrozu. Tym sposobem uratowałem się od śmierci, podobnie jak Francuzi, którzy w odwrocie swym z Rossyi zabijali konie, i dla zabezpieczenia się od przerażającego zimna, w ich brzuchy się chowali.

Ale zaledwo, że przez pół godziny w mém legowisku wypocząłem, aż oto darcie i szarpanie dało mi poznać, że się jacyś nieproszeni goście do mego doryweczego pomieszkania dobiérali. Wkrótce przekonałem się na nieszczęście,

że to były zgłodniałe lisy. Było ich niezawodnie kilka set razem, bo ze wszech stron bankietowały, a niektóre z nich już nawet nosy wtykały w otwór, przez który się w niedźwiedzicę wsunąłem. Poszedłszy do głowy po rozum, zacząłem wszystkim wściubskim nosy odrzynać, inaczéj byłbym od nich wkrótce pożartym. Były one tak łakome i zgłodniałe, iż się przez skórę już do cielska niedźwiedzicy dobiérać zaczęły.

Nie obawiałem ja się wprawdzie, aby mnie ci nieproszeni goście zjadły; gdyż sądziłem, iż się nasycą, nim się do mnie dostaną; a potém myślałem, że ich mojém nagłém zjawieniem się odstraszę; ale z taką zgrają niema co żartować. Atoli w jakiéjże nie byłem trwodze, gdy już w mojéj ciemnéj izdebce rozwidniać się zaczęło! Już mnie tylko ochraniały żebra niedźwiedzicy, pomiędzy które lisy nosy swoje wtykając za mój kolet mnie szarpać zaczęły. Już chciałem krzyknąć na głos i odpędzić od siebie te żarłoczne bestyje, aż oto kilka wystrzałów z ręcznej broni obiło się niespodzianie o moje uszy. Wypadek ten uradował mnie niezmiernie; ale wkrótce poznałem, iżbym drogo był radość moję przepłacił, gdyż kilka kul w niedźwiedzicy ustrzęgło. Wychyliwszy więc głowę z brzucha, zacząłem krzyczéć co mi sił stało, a towarzysze moi usłyszawszy mnie, natychmiast na lisy strzélać poprzestali, chociaż ani sobie do głowy przypuścić mogli, aby ich towarzysz w brzuchu niedźwiedzicy siedział!

Brat mój znajdujący się także na tym samym okręcie, przyszedł mnie szukać i sądził, że już nie żyję; ale gdym do niego z brzucha potworu wyskoczył, objął mnie w swoje ramiona, chociaż byłem zupełnie krwią ociekły. Już nie żyje — poczciwe to chłopczysko!

»To jest cała historyja moi panowie.«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 5. i obejmuje: 1) O wartości względnéj nawozów, tudzież ich rozmaitéj ilości do otrzymania żądanych skutków potrzebnéj. 2) Whitingtona nowa biała ozima i jara pszenica, za któréj pielęgnowanie towarzystwo rolnicze Liverpolskie medal mu dało. 3) Cukrownie w Państwie Austryjackiém. 4) Barometr chemiczny niekosztowny dla gospodarzy i ogrodników. 5) Środek czyszczenia kominów z sadzy. 6) Komu i kiedy używanie kawy staje się pożyteczném. 7) Atrament angielski. 8) Machina do kopania. 9) Rzeczy rozmaite.

Wiadomości literackie. Bohdana Zaleskiego ma być wkrótce ogłoszono drukiem sześć tomów pism rozmaitych, między inném poemat historyczny: *Potrzeba Zbaraska.*

Trzeci tom *Wędrówek literackich, fantastycznych i historycznych*, pr. J. J. Kraszewskiego, już wkrótce opuści prassę w księgotłoczni Blumowicza (w Wilnie.) Dochód z tego dziełka, autor przeznaczył dla biednego przyjaciela.

Dzieło pod tytułem: »*Historyczno-biograficzny Rys życia feldmarszałka księcia Warszawskiego, hrabi Paszkiewicza Erywańskiego Namiestnika Królestwa*, etc. etc. etc. wyszło z druku w Warszawie.

Z Budy (w Węgrzech.) Tutejsze towarzystwo do podniesienia języka i literatury sławiańskiéj, podało właśnie do druku i na rok 1840 swój już przez trzy lata wychodzący Noworocznik *Zora*. Tegoroczny ozdobiony będzie wizerunkiem JCMości najdostojniejszego Arcyksięcia Franciszka Karola, na co wydawcy najłaskawsze pozwolenie uzyskali. Pomienione towarzystwo zamyśla także w guście Jurendego wydać: *Ojczystego sławiańskiego Pielgrzyma.*

Drzewo woskowe, które dziko rośnie w Ameryce Północnéj, zasługuje także u nas być zaleconém, zwłaszcza, iż nasz klimat znieść może. Drzewo to nie wymaga wielkiego pielęgnowania, dochodzi 5 lub 6 stóp wysokości i na suchym, piaszczystym gruncie, na którym żaden inny rodzaj drzewa się nie przyjmuje, rośnie i puszcza z siebie wiele korzeni, których oddzieleniem i przesadzeniem łatwo się rozmnożyć daje. Liście i jagody, równie jak i żywica czyli wosk tego drzewa, podczas palenia się wydają zapach przyjemny. Wosk ten na świécę użyty, roszérza w pokoju przez niejaki czas nawet po zgaśnieniu światła woń przyjemną. W Berlinie w ogrodzie Sulzera wydaje kwiat i owoc, a przeto i u nas dałoby się rozkrzewić. Ta tylko jest różnica, że drzewo to w Europie mniejszą ilość wosku w sobie zawiera, niż w Ameryce Północnéj, gdzie 7 funtów jagód dwa funty wosku wydaje. Wosk ten jest żółto-zielonego koloru i tęższy niż wosk, który pszczoły wydają. Jasny płomień jego nie daje żadnego kopcia, nie topnieje jak łój, i zachowuje zapach dopokąd wosk jest młody. Jagody wsypują się do kotła a na nie nalewa się woda na 5 do 6 cali wysoko i tak się gotują. Podczas gotowania mieszają się często jagody i rozcierają o dno i ściany kotła. Zwolna wychodzi na powiérzchnią wosk podobny do oleju, który zebrawszy, dla odłączenia go od obcych części, przez lnianą szmatę się przecedza. Gdy już oléj na powierzchnią nie występuje, wtedy wybierają się roztarte resztki jagód, a wrzuciwszy w kocieł nowe jagody, doléwa się wodą, dla wynagrodzenia téj, która się przez gotowanie ulotniła. Wosk ten jest wilgotny i miękki. Z wysuszonego robią się kręgi, a z tych leją się świece; używa się go zamiast mydła, a z powodu ściągającéj własności swojéj i za lékarstwo służy. (Z powszech. Gazety agronomicznéj.*)

Śpiewak. John Abell, śpiewak i artista przy kaplicy Karola II. króla angielskiego, będąc katolikiem, utracił swą posadę podczas rewolucyi roku 1683 i z kraju wynieść się był przymuszony. Dając koncerty zwidził Holandyję, Niemcy, a nakoniec przybył do Polski. W Warszawie wezwano go, aby śpiewał przed królem. Abell uniewinniał się, że w téj chwili nie był przy głosie, a wezwany powtórnie, odmówił listownie, że śpiewać nie będzie. Zawieziono go więc do dworu, i wprowadziwszy do wielkiéj sali, którą w górze galeryja otoczała, posadzono go pośród téjże na krześle. Zaledwo że śpiewak usiadł, aż oto przez ukryty mechanizm pociągnięto krzesło wraz z śpiewakiem aż pod samo powałę. Téjże saméj chwili przybył król z całym swoim dworem na galeryję. Za danym znakiem rozwarły się podwoje, a okropne niedźwiedzie wbiegły na środek sali. Wtedy król rzekł do śpiewaka: „Albo będziesz śpiewał natychmiast, albo pomiędzy te bestyje spuścić cię każę; jedno albo drugie masz do wyboru.“ Śpiewak widząc, że nie żart, zaczął wywodzić trele i przyznał poźniéj, że nigdy nie miał lepszego głosu. Tak przynajmniéj pisze *Allgemeine Mode-Zeitung!*

Pantofle Diderota. Diderot otrzymał piękne, karmazynowe pantofle w podarunku. Wdziawszy je rzekł sam do siebie: „Nie jestto w porządku, aby nogi lepiéj były ubrane niż głowa.“ W skutek tego rozumowania kupił sobie Diderot aksamitną czapeczkę. Wtem postrzegł filozof nową sprzeczność w swoim ubiorze. Reszta bowiem odzienia jego nie zgadzała się z ubiorem jego nóg i głowy, ztąd wypadła konieczność sprawienia sobie nowego szlafroku. Ubiór ten podobał

---

*) Podobnież z żywicy wydobytéj z pączków tego drzewa gotowaniem, taki aromatyczny wosk uzyskać można.

się filozofowi; lecz na stoliku, który czarną i brudną skórą był obwléczony, brukał piękny szlafrok podczas pisania. Postanowił więc kupić nowy stolik. Poczém rzekł do siebie: „Jest to niesłuszna, przecież książkom moim winienem wszystko co posiadam, przeto niegodzi się, abym ja lepiéj od nich był ubranym;“ kazał więc przywołać introligatora i zalecił, by mu biblijotekę porządnie oprawił, a ten ją skórką *maroquin* przyozdobił. Lecz świetne przyozdobienie książek tak mocno odbijało od staréj półki, na któréj książki spoczywały, iż Diderot nową szafę z pięknego drzewa dla nich sprawić był przymuszony. Nie na tém koniec; reszta mebli, równie jak i inny ubiór, nie zgadzały się z przedsięwziętém niektórych sprzętów upiększeniem. Słowem, darowane, piękne pantofle przymusiły Diderota nie tylko do sporządzenia odzieży i sprzętów swoich, ale nawet do upiększenia całego pomieszkania.

W Warszawie roku 1705, żyła przekupka Ewa Jankiewiczowa, mająca stragan z owocami przy Krakowskiéj-Bramie od strony Zamku; czytaliśmy o niéj w rękopiśmie należącém do jednego z antykwaryjuszów, że była matką 20tu córek, a żadnego nie miała syna; doczekała się wesela wszystkich swych córek, które wychowywała troskliwie; zięciowie jéj, byli uczciwi rzemieślnicy. Na weselu najmłodszéj z córek, znajdowało się 50 wnuków i wnuczek, a prawnuków 18. Kto życzył komu po przyjacielsku, zwykł był mawiać: „Doczekaj się takiéj pociechy z dziatek, wnucząt i prawnucząt, jak poczciwa Ewa przekupka.“

W Edynburgu umarła niedawno pewna w panieńskim stanie dama, nazwiskiém Miss Jane Innes, i zostawiła po swojéj śmierci 800,000 funt. szt. w banknotach angielskich, tudzież inny majątek w różnych częściach Szkocyi, wynoszący 1,200,000 funt. szt. Cały ogromny ten majątek z 2,000,000 funt. szt. zapisała testamentem dla wszystkich swoich krewnych, ile się takowych znajdzie, bez względu na dalsze lub bliższe powinowactwo. Pomimo tego ogromnego majątku rzeczona dama było bardzo skąpa; jakoż skąpstwo to stało się nawet przyczyną jéj śmierci, gdyż jednego wieczora, gdy było bardzo ciemno, nie kazała sobie zapalić świécy i szła pociemku po wschodach; z powodu słabości swojego wieku, miała bowiem już lat 86, pośliznęła się, i upadłszy, nogę złamała, na co wkrótce umarła. Kwota spadkobierczéj akcyzy, która jak wiadomo w Anglii jest bardzo wielka, jużby sama przez się była wielkiem majątkiem.

W paryzkim dzienniku „*La Gastronomie*“ pod względem nowo założonego piekarstwa wiédeńskiego, czytamy co następuje: „Było już bardzo na czasie, aby się profesyja piekarska z swego poniżenia podniosła. Pan Felix przy ulicy *Vivienne* pod liczbą 35, miał wprawdzie przykrą utarczkę z starym zwyczajem i zawiścią swych spółzawodników; jednakże nie stracił odwagi, a następca i zięć jego p. Frischmuth, trzyma się statecznie nowego ulepszenia w chlebie i pieczywie różnego rodzaju; jakoż znakomitsze osoby stolicy naszéj, zwidzają często jego eleganckie sklepy i maślanym tudzież śmietankowym preclom (*Bretzel au beurre et à la crème*) oddają należytą pochwałę. Atoli w tych czasach powstał straszny spółzawodnik pana Frischmoutha. Jestto niejaki pan Zang z Wiednia, który zaraz w samym środku przy ulicy *Richelieu* sklep swój założył. Będzie temu cztery tygodnie jak ten sklep jest otworzony, ale odtąd tłum ludzi wcale go nie opuszcza. Wewnątrz, zewnątrz, zgoła ze wszystkich stron publiczność się do niego ciśnie. Z ciekawością zaglądają weń ludzie, jak przez szklanne szyby do domów, w których przedają obrazy na skręcie ulicy *Véro-Dodat*, albo przy ulicy *Coq-Saint-Honoré*. I cóż tam ujrzysz? Smakownie przyozdobione sale, prawdziwe budoary tak okazałe jak sale dla baletniczek, w których są zwierciadła, draperyje i wszystko, co tylko przepych ma najwyszukańszego; ujrzysz tam chléb, ale jaki chléb! żółty u góry, a u spodu podobnie jak *brioches* pozłacany! Następnie ujrzysz tam nietylko wszystkie płody francuzkiego, ale nawet utwory zagranicznego a w szczególności wiédeńskiego smakownego pieczywa, jako: przewyborne baby, (*Kugelhupf*) pączki, (*Krapfen*) strudle, prezburskie sucharki i t. d. Nie zastraszaj się barbarzyńskiemi ich nazwiskami, skosztuj tylko, a wkrótce inaczéj o nich mówić będziesz. Już dawno pasorzyci ocenili należycie te gatunki pieczywa: (*On regarde encore, non seulement tous les produits de la pâtisserie française, mais tous ceux de la pâtisserie étrangères, et plus specialement de celle de Vienne, tels que Gugelhupf, Krapfen, Strudel, biscuits de Presbourg etc. etc. Que la barbarie des noms ne vous effraie pas; mangez, mangez toujours, et vous m'en direz des nouvelles. Il ya long-temps que ces gateaux sont appréciés par les gourments de tous les pays*). System pana Zang zaleca się przed wszystkiémi dotąd znanémi: 1) Nowym systemem kiszenia, przez które ciasto lekszém i do strawienia snadniejszém się staje, nie tracąc bynajmniéj z swoich części posilających; 2) nowym sposobem pieczenia parą, która chlebowi tak smakowną kruchość, a powierzchni jego tak naturalną śklistość nadaje, jakiéj dotąd żaden piekarz paryzki do skutku nie przyprowadził. A że zakład ten trzy razy na dzień wszelkiego rodzaju świéżego pieczywa dostarcza, dlatego też w oznaczonym czasie każdy dóm niém zaopatrzyć się może. Pisze się tylko parę słów i posyła przez małą pocztę do pana Zanga, podobnie jak do dyrektora teatru albo do jakiego deputowanego. Czegoż więcej żądać? — Dziennik *Constitutionell* wyraża się w téj mierze jak następuje: »W ostatnim czasie rozprawiano niemało o zastawie stołu i książęcych śrebrach stołowych, z których piérwsza dla pewnego księcia, a drugie dla bankiera naszéj stolicy sporządzono; atoli niewiele osób dostąpiło tego zaszczytu takowym się przypatrzyć. Co zaś małym kosztem od każdego zwidzoném być może, jestto sklep nowo zjawiony, który pod ten raz każdego wieczora tysiącem świateł okolicę giełdy oświéca, sklep ten nie tylko, że jest dziwem przemysłowości; ale nawet reformą całego piekarstwa. Nie pojmujemy dlaczego się jeszcze sprawą zboża zajmują! Wszakże chleba już nié ma; chléb jest tylko snem, urojeniem, odtąd piekarczyki już tylko jako mitologiczne podania istnieć będą. Przypatrzmy się tylko nadmienionemu zakładowi. Tam przekonamy się jak idealną odmianę owa powszednia i zwyczajna żywność, którąśmy dotychczas chlebem zwali, i która do tylu nieładu, buntu, i nieszczęsnych przypadków powodem była, na siebie przybrać jest w stanie! Tam, w niedostatku chleba, znajdziesz sucharki i fantastyczne ciasta; następnie ujrzysz tam wiédeńskie kanapy, wiédeńskie fotele, wiédeńskie rury gazowe; za sklepem spostrzeżesz Wiedenki, a u okien wiédeńskie firanki. Rzeczą zaś najtrudniejszą jest rozeznanie pieczywa tego zakładu, bo chcąc wnijść do téj świątyni, trzeba przez natłok ciekawych się przedzierać, a wychodząc narażasz się na niebezpieczeństwo, aby cię ciżba w tryjumfie z sobą nie wyniosła. Jakkolwiekbądź, jednak na widok tego dziwnego sklepu wstrzymać się nie można od wykrzyku z westchnieniem: Towarzystwo w swoich węgłach wzruszone: piekarze nikną! (*La société s'ecroule par sa base: les boulangers s'en vont!*) —“

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.